

**Inkwizytor**  
Autor tekstu: **Marek Bończak**

**Z**szedłem do salonu. Pomimo późnej pory miałem nadzieję zastać tam mojego przyjaciela. Nie myliłem się. Piotr siedział tyłem do mnie w głębokim fotelu i zdawał się kontemplować rozciągający się za oknem leśny krajobraz skąpany w księżycowej poświacie. Cienie, pobudzone do życia wątlym światłem kilku świec stojących na okrągłym, stylowym stoliku pośrodku pokoju, pełzały po surowych obliczach przodków, których portrety zdobiły pomalowane na biało ściany. Wśród nich wielkością i pięknem, wyróżniała się malowana na płótnie podobizna Ferdynanda.

- Dlaczego? — zapytałem, zatrzymując się w bezpiecznej odległości. — Dlaczego mnie okłamałeś?

Piotr odwrócił się ku mnie powoli. Prawą stronę jego bladej twarzy zasłaniał ogromny opatrunek, który na wysokości oka zabarwiony był na czerwono.

Jezusie Nazareński! Jęknąłem w duchu. Jego prawe oko...

- Przepraszam — Ton jego głosu był miły i przyjacielski jak zwykle. — Historia, którą ci opowiedziałem niewiele mijają się z prawdą.

- Czcicie Szatana! — wybuchnąłem. — Ferdynand został złożony w ofierze demonowi przez własnego ojca! Widziałem to!

Na spuchniętej twarzy Piotrka pojawił się wyraz zrozumienia.

- Czcimy Boga, Tomku. Inaczej niż wy, chrześcijanie. I, nie obraź się, ale robimy to lepiej.

Jego bezczelność sprawiła, że przez chwilę czułem się zupełnie oszołomiony. Po czym wściekłość wypełniła mnie swą żrącą treścią.

- Co ty bredzisz! — Wrzasnąłem. — Ten facet z zimną krwią rozpołowił swego trzyletniego synka, taplał się w jego krwi i wnętrznościach, jak dziwka w kąpieli ziołowej, przywołując coś obrzydliwego, co wyłoniło się z ciemności, a ty mówisz, że Bóg woli to od Eucharystii?!

Uczyliłem krok w jego stronę, nie zważając na niebezpieczeństwo. Wycelowałem w niego palcem gestem oskarżyciela w sądzie.

- A może ty również zabiłeś jakiegoś dzieciaka w ofierze swemu potwornemu Bogu? — Powiedziałem.

Zadrzał. Widocznie trafiłem w jego czuły punkt.

- Posłuchaj, księżu — jego głos stracił nieco ze swej łagodności. — Nosisz w sobie pychę twojego kościoła, dlatego nie wiem, czy mnie zrozumiesz, ale spróbuję.

Twierdzisz, że mój Bóg jest potworny, ale to wy uczyniliście z niego prawdziwego potwora. W przypiływie niewyobrażalnej pychy, której sam Lucyfer by wam pozazdrościł, przepuściliście go przez sito własnej moralności. To, co się przecisnęło, uznaliście za dobre i piękne i nazwaliście Bogiem; to zaś, co zostało na dnie, odrzuciliście ze wstrętem jako szatańskie. Dokonaliście wiwisekcji boskiej natury, zabierając ze sobą jedynie cień Stworzyciela.

Tyle że Boga nie da się podzielić, jak tuszę świniaka. Właśnie dlatego, iż nieustannie gardzicie i uczycie nienawidzić tę część boskiej natury, która nie pasuje do waszych neurotycznych wyobrażeń, ciągniecie ją za sobą niczym garb, do którego nie chcecie się przyznać. Niezliczone zbrodnie popełnione w imię Jezusa, wyprawy krzyżowe, wojny religijne... Wasi święci teologowie z rozkoszą nadzorowali pracę Świętej Inkwizycji, sycąc się jękiem torturowanych dzieci bożych...

Przerwałem mu wstrząśnięty przewrotnością jego wyводу.

- Gadasz głupoty, satanisto. Poznanie Boga jest nieustannym procesem, w którym on sam się nam ukazuje. Natchnieni pisarze Starego Testamentu odeszli od koncepcji Boga sprawcy dobra i zła, ku poznaniu dobrego Ojca, który w Jezusie Chrystusie objawił się jako Miłość!

- To właśnie jest wasz błąd — odparował Piotrek. — Z Boga prawdziwego, Wszchemogącego uczyniliście z czasem ideę tego, co rozumieście pod pojęciem dobra i

doskonałości. To, co wam w nim nie pasowało, uznaliście za osobowe zło. Skoro jednak nie może być dwóch Bogów, sięgnęliście do religii narodów bardziej rozwiniętych kulturowo i zapożyczyliście sobie Szatana, zdradliwe stworzenie, które wprowadziło zło i nieszczęście na świat. Poszliście dalej niż dualiści, którzy uznali tak zwane zło również za pierwiastek boski, choć rozłączny z pierwiastkiem dobrym.

- Czy nie widzisz prymitywności tego pomysłu? — kontynuował. - W Starym Przymierzu byli wąż i głupia Ewa; w Nowym mamy diabła i demony, lubujące się w paralitykach i świniach, i jeszcze głupszego od Ewy Judasza. Jeszcze dziś uznajecie demona za coś nieskończenie prymitywnego i tępego, debila, który opętuje człowieka, przeklina, złorzeczy i ze zwierzęcym krzykiem opuszcza swego gospodarza z lęku przed mocą Jezusa.

- Bóg jest miłością.

Piotr dotknął zakrwawionego opatrunku na twarzy.

- Bóg jest wszystkim. Siłą miłości i zabijania. Kościół uczy, że Boga można poznać, kontemplując jego dzieło. Niestety, nie chodzi wam o poznanie pełni prawdy. Nawet dziecko dostrzega piękno natury również w jej bezlitosnej walce o byt. Dla was to konsekwencja grzechu pierwotnego, dla nas — niezbywalna część całości. Prawdziwy Bóg nie musi być doskonałym, pacyfistycznym uczuciem na wzór waszego chorego spojrzenia na świat.

Mówiłeś o Jezusie. On też sięgnął po przemoc, ale w zły sposób. Jako Syn Boży i Pan historii mógł wszystko, dlatego innych uczynił swymi zabójcami, a siebie ofiarą. Czy święty Franciszek, który zasłużył na stygmaty, nie był masochistą, jak jego Mistrz? Torturował swe ciało, kaleczył się, odmawiał pożywienia, unikał higieny i to go wreszcie zabiło...

Swoją drogą łączy nas ta sama logika. Bóg Ojciec wydaje swego Syna w ręce oprawców, czyli de facto zabija go, posługując się rękoma innych. Szymon zabija syna Ferdynanda własnymi rękoma, chcąc oddać cześć tej części nierozzerwalnej natury Boga, którą wy uczyniliście zwyrodniałą i plugawą. Bóg Ojciec uśmierca dziecko dla zbawienia świata — Szymon morduje synka, by Bóg mógł zostać prześlany. Jezus zmartwychwstaje; Ferdynand zostaje pożarty przez potwora, którego stworzyliście, Kaina powołanego do życia przez waszą wybiórczą, fałszywą miłość.

- Dosyć! — krzyknąłem, zasłaniając uszy. — Nie mogę tego słuchać! Kochałem cię jak brata, Piotrze. Dziś żałuję, że cię uratowałem. Jak możesz być tak głupi?!

Piotr uśmiechnął się z wyrozumiałością. Spod opatrunku wypłynęła strużka krwi, ale on zdawał się tego nie zauważać. Mówił spokojnie, z przekonaniem.

- Ja kocham ciebie nadal. Od czasu, gdy odwiedziłeś mnie pierwszy raz w domu, gdy przyrzekłeś mi dozgonną przyjaźń i opiekę, uważam cię za brata. Ucieszyłem się nawet, gdy zostałeś księdzem — widziałem szczęście w twoich oczach i to było dla mnie najważniejsze.

Straciłem ochotę do dalszej rozmowy. Ten człowiek budził we mnie obrzydzenie. Był kłamcą, cynicznym potworem, bluźniercą godzącym w moją miłość do Boga, pragnącym odebrać mi wiarę. Pomyślałem o tych wszystkich latach, gdy łączyła nas głęboka przyjaźń. Przypomniałem sobie wszystkie zwierzenia i jego rady, które starałem się zastosować w praktyce. Ogarnął mnie głęboki smutek. Niechciane łzy wdarły się do mych oczu.

- Nasza przyjaźń była najgorszym błędem w moim życiu - rzekłem. — Na szczęście przestała istnieć. Idę się spakować i niezwłocznie wyjeżdżam. W Warszawie poinformuję policję. Kto wie, jakie potworności ukrywasz w podziemiach domu...

- Przykro mi, ale to niemożliwe — odpowiedział Piotrek, wyciągając rękę z kieszeni. Trzymał w niej pistolet małego kalibru. - Pan ma wobec ciebie inne plany.

- Plan? — krzyknąłem. — Jakże plany może mieć wobec mnie diabeł?!

Piotrek potrząsnął zrezygnowany głową. Najwidoczniej utracił nadzieję na wytłumaczenie mi doktryny swej wiary.

- Jak dobrze wiesz, nie możemy z Ewą mieć dzieci. Pan jest wymagający: daje wszystko, o co go prosimy, ale kategorycznie domaga się swej ofiary. No wiesz, liczymy się jak Żydzi — usiłował żartować, jednak jego lewemu oku wcale nie było do śmiechu. W jego spojrzeniu krył się głęboki smutek i absolutna determinacja. — To powinien być nasz syn... Ale Pan zgodził się na wyjątek. Kochamy cię jak brata. Masz trzydzieści trzy lata... Wiek Chrystusowy, jak wy, księża mówicie między sobą. Pan ma poczucie humoru, więc...

- Chcesz mnie złożyć w ofierze — skończyłem za niego. Byłem przerażony.

- To miało wyglądać zupełnie inaczej....ale, tak.

Klamka zapadła. Ja również podjąłem swoją decyzję.

- Dlaczego zatem do mnie celujesz? Możesz mnie zastrzelić.

To pistolet na pociski usypiające. Ceremonia odbędzie się jutro, gdy Ewa wróci z Warszawy. Nie bierz tego do siebie. Równowaga musi zostać zachowana...

Upredziłem go o sekundę. Gdy naciskał spust, wykonywałem wyuczony w szkółce bokserskiej zwód, biorąc jednocześnie zamach harcerską finką, którą ukrywałem w rękawie koszuli. O moich zapędach do boksu wiedzieli wszyscy; o godzinach treningu rzucania nożem nie wiedział nikt. To było moje drugie hobby, z którego nigdy nie zrezygnowałem. Żywiłem przekonanie, że kiedyś umiejętność ta uratuje mi życie...

Pocisk otarł się o mój lewy bark. Natychmiast ogarnęła mnie fala słabości. Poczułem się jak pasażer, którego wyssało z uszkodzonego samolotu. Odniosłem wrażenie, że znajduję się w absolutnej próżni: nie mogłem nabrać powietrza do płuc, straciłem też całkowicie kontrolę nad własnym ciałem. Upadając na podłogę zobaczyłem mimochodem, że nóż zakończył swój lot w chudej szyi byłego przyjaciela. Potem straciłem przytomność.

\*

Ocknąłem się kilka godzin później obolały i zdezorientowany.

Pierwsze, co dostrzegłem w nikłym świetle dogasających świec, to skomplikowane wzory zdobiące puszysty dywan, który zamortyzował mój upadek. Drugą rzecz stanowiły podeszwy czarnych pantofli Piotra — były czyste, jakby w ogóle w nich nie chodził. Przypomniały mi się setki pantofli prosto ze sklepu, zdobiących stopy złożonych do trumny dziadków, ojców, mężów... Widok ten nieodmiennie budził we mnie uczucie zagubienia i absurdałności życia, nadając rytualnym słowom modlitwy odcień niepewności. Facetom zakładano nowe buty, chociaż nigdzie w nich nie pójdą.

Niepewnie wstałem na nogi. Drogi Piotr również nigdzie nie pójdzie, pomyślałem, spoglądając na zakrwawiony uchwyt noża. Reszta tkwiła głęboko w tchawicy.

Podszedłem do zwłok, tłumiąc w sobie obrzydzenie. Czubkami butów kopnąłem pistolet wypadły z delikatnej dłoni. Starąłem się nie wdepnąć w kałużę zakrzepłej krwi, która obficie broczyła z rany, tworząc wokół głowy trupa ogromną ciemną aureolę.

Musiałem koniecznie zaspokoić nagłą ciekawość. W tym celu wyciągnąłem z kieszeni spodni chusteczkę higieniczną i wytarłem rączkę noża z krwi. Zdecydowanym szarpnięciem wy dobyłem ostrze z gardła umarłego, po czym podważyłem opatrunek na jego prawym policzku. Dostrzegłem sine, spuchnięte ciało, otaczające zapadniętą powiekę, spod której wypływał strumyczek obrzydliwej cieczy — mieszaniny krwi, ropy i łez - kończąc swój krótki bieg w sinych ustach zastygłych w oniemiałym krzyku zdziwienia.

W migotliwym blasku świec trup zdawał się płakać nad swym losem.

- Jakie życie, taka śmierć — szepnąłem w odpowiedzi na tę myśl. Jezus kazał kobietom jerozolimskim płakać nad losem swych dzieci, które ściągały na siebie gniew sprawiedliwego Boga. Człowiek, którego imię chciałem wyrzucić z pamięci, zasłużył sobie jak nikt inny na boży gniew, którego ja byłem jedynie wykonawcą.

Nie czułem żalu, czy wyrzutów sumienia. Gdy rzucałem nożem w swego jedyne go przyjaciela, byłem już innym człowiekiem. Zrozumiałem, że Bóg postawił mnie na jego drodze wiele lat temu, nie dla uratowania nędznego, satanistycznego życia, lecz po to, abym definitywnie rozprawił się z plugastwem bezczeszczącym Jego święte imię.

Piotr i Ewa nie mieli prawa żyć. Taka była wola Boga i jej wypełnienie należało teraz do moich obowiązków. Nie ukrywałem, że widok wroga, leżącego bez życia w kałuży krwi, sprawił mi wielką przyjemność. - To z gorliwości w służbie bożej - tłumaczyłem sobie. Coś pchało mnie do tego, bym w jakiś sposób zbecześcił zwłoki. Powstrzymałem się jednak i poszedłem się spakować.

Nie zdziwiła mnie zbyt zmiana w wyglądzie małego Ferdynanda. Na jego delikatnej, dziecięcej szyi widniała okropna, krwawa rana zadana moim nożem. Twarz chłopca wyrażała żal, jakby mamusia nie chciała mu kupić ulubionego lizaka w supermarkecie.

- Było się nie zaczynać — burknąłem rozbawiony jego naburmuszeniem.

Zebrałem nieliczne rzeczy, które przywiozłem ze sobą: trochę bielizny, kilka czarnych koszul pod koloratkę, sutannę, brewiarz, książkę „O naśladowaniu Chrystusa" i Biblię, której grzbiet wydał mi się wilgotny i lepki.

- To nieprawda — mruknąłem i nerwowo otworzyłem Pismo na założonej uprzednio stronie. Przeczytałem kilka wersetów, na które padło moje spojrzenie. Znak, pomyślałem wstrząśnięty. Pan dał mi znak, co mam czynić. Zamknąłem Biblię, delikatnie włożyłem ją do plecaka i wytarłem skrwawione palce o nogawki spodni. Uśmiechnąłem się szczęśliwy.

Zarzuciłem plecak na ramię i ostatni raz spojrzałem na zniechęconą podobiznę demona. Krwawa plama niemal znikła z jego szyi. Za to na ustach pojawił się szeroki, mściwy uśmiech oblesnego starca, odsłaniający żółte, ostre kły.

- Boże, on go wskrzesza! — Krzyknąłem i pobiegłem na dół, do salonu.

Piotr zdawał się być jeszcze martwy, choć jego rana na szyi wyraźnie się zmniejszyła.

W pierwszej chwili zdecydowałem się go utopić. Chwyciłem za bezwładne stopy obute w cholerne, nowiutkie pantofle i pociągnąłem zwłoki ku drzwiom, prowadzącym na korytarz. Spociłem się jak nigdy wcześniej w moim życiu, ale po dwóch minutach znalazłem się na werandzie, przed drzwiami wejściowymi.

Z trudem łapiąc, oddech rozejrzałem się dookoła. Świat tonął w ciemnościach o różnym natężeniu. Szafirowe, rozgwieżdżone niebo przechodziło nagle w poszarpaną, nieprzenikloną czerń wierzchołków drzew. Obok, niczym ogromne zwierzę, spała niespokojnym snem szara plama jeziora.

Nie pamiętałem, którądy biegła dróżka na plażę. Wiedziałem tylko, że znajduje się ona mniej więcej dwadzieścia metrów od domu. Dowleczenie trupa tak daleko byłoby powolne i męczące. Zajęłoby zbyt wiele czasu i mógłby on powrócić do życia.

Jakby na potwierdzenie moich słów zwłoki drgnęły, wydając z siebie głębokie westchnienie.

Przerażony rozejrzałem się wokół siebie. Szukałem siekiery albo kosy, którą mógłbym uciąć mu jego pieprzony łeb. Było jednak zbyt ciemno, by cokolwiek wypatrzeć. Bliski paniki cofnąłem się do drzwi i drżącą ręką poszukałem wyłącznika. Po chwili werandę zaalało brzydkie, żółtawe światło żarówki czterdziestowatowej. Jeszcze raz rozejrzałem się po werandzie. W lewym rogu, pod ścianą, stały grabie. Poszedłem po nie na nogach, które zaczynały odmawiać mi posłuszeństwa. Wydawały się być z gumy przeżutej przez batalion jankesów.

Zwłoki znowu się poruszyły, tym razem mocniej, jakby ktoś podłączył je na chwilę do prądu.

Szybciej, szybciej! Dodawałem sobie animuszu, biorąc grabie do drętwiejących rąk. Panie Jezu Chryste! Jeśli chcesz, bym stał się skutecznym narzędziem w twoich boskich rękach, dodaj mi siłę! Ty powiedziałeś do apostołów, aby się modlili, prosząc o pomnożenie wiary. Oto ja, twój kapłan, błagam cię, przymnóż mi...

Oparłem grabie o ścianę domu pod dość dużym kątem.

...wiary i dodaj mi siłę, bym pełnił Twoją wolę!

Z całej siły uderzyłem podeszwą w środek styliska, które pękło na dwoje. Na szczęście złamanie nie było poprzeczne, lecz pod ostrym kątem. W ten sposób otrzymałem zaostrowany kołek. Tak uzbrojony podszedłem do zwłok, wobec których Szatan wypełniał podjęte zobowiązania.

Zdrowe oko Piotra było otwarte i tliły się w nim pierwsze iskielki powracającego życia. Tym razem nie byłem ciekaw, czy pod zakrwawionym bandażem wyrosło drugie. Pochyliłem się nad denatem (czy mogłem go jeszcze tak nazywać?) i wzniosłem nad głowę swą prymitywną broń, zdecydowany raz na zawsze wysłać Piotra do piekła.

Matko Przenajświętsza, Ty powiedziałaś do uczniów Jezusa...

Z całej siły uderzyłem w ranę na jego szyi, po której pozostało jedynie lekkie wgłębienie. Ostry odłamek bez trudu przebił skórę i tkanki, miażdżąc tchawicę.

...aby czynili to, co on im poleci. Oto dziś, jego wierny kapłan walczy z mocami zła, z Szatanem, któremu Ty, Dziewico nad dziewicami...

Z ust Piotra wyrwał się przeraźliwy kwik zarzynanej świni, który rychło przeszedł w ohydny bulgot, gdy krew z poszarpanych arterii wdarła się do gardła, tchawicy i płuc.

...zmiażdżyłaś głowę, według starożytniej przepowiedni. Uproś u swego Syna siłę i odwagę dla niegodnego sługi swego, którego...

Wskrzeszony czciciel Złego zaciekle walczył o zachowanie życia. Beładnie wymachiwał rękoma, jak ogarnięty paniką niedoświadczony pływak. Pokrzepiony modlitwą wsparłem się na kołku, klęcząc po obu stronach drgającego ciała.

...jedynym pragnieniem jest wiernie i bez szemrania wypełniać wolę naszego Pana Jezusa Chrystusa, Syna Bożego!

Piotr przestał się bronić. Jego ręce opadły na boki, niczym spróchniałe pnie martwych drzew. Nogi zaniechały swej bezowocnej kopaniny. Ustały drgawki. Lewe oko na powrót przyoblekło się w trupa szklistość.

- Dzięki ci, Boże! — szepnąłem, wyciągając zakrwawiony kołek z szyi powtórnego denata.

Tym razem chciałem być pewien, że nie powróci do życia. Przyłożyłem kołek do martwego oka i pchnąłem z całej siły. Chrupnęła pękająca kość i kołek zanurzył się mózgu. Wydobyłem go z szarej brei i włożyłem między rozchylone usta. Powtórzyłem pchnięcie raz i drugi, aż byłem pewien, że zaostrizony koniec kołka oparł się o deski werandy.

Tak lepiej. Wstałem z kolan i cofnąłem się w głąb werandy. Świtało. Gwiazdy wyblakły i znikły za powłoką szarości, która niczym zużyta, brezentowa kurtyna odgrodziła ziemię od kosmicznego widowiska. Za chwilę wzejść miało słońce — niezmordowany konferansjer, aby zapowiedzieć nowy akt odwiecznego dramatu istnienia.

*"Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze. Tobie śpiewa żywot wszelki, bądź pochwalon Boże wielki"*

Nabożnie złożyłem zakrwawione dłonie i rozpocząłem modlitwę na rozpoczęcie dnia. Nad jeziorem zerwał się lekki wietrzyk spychając w stronę lasu ostatnie strzępy mgły. Poszczególne drzewa wyłaniały się powoli z mrocznej masy, wracając do swej nijakiej powierzchowności.

Pomny na czekającą mnie pracę, porzuciłem modlitwę i kontemplację piękna stworzenia. Ojcowie kościoła uczyli, że pracą wielbić można Boga równie dobrze jak modlitwą. Szczególnie, że słańałem się ze zmęczenia a negatywne wibracje, które nasiliły się ostatnio, odbierały mi wolę i mąciły myśli.

Najpierw kąpiel, zdecydowałem. Byłem dosłownie unurzany we krwi. Spodnie i koszula były twarde, jakby ktoś uszył je z kartonu i pomalował czerwoną, olejną farbą.

Chciałem przygotować się jak najlepiej na powrót Ewy.

\*

Około południa usłyszałem warkot silnika jej samochodu.

Słońce przypiekało niemilosiernie, dlatego ukończywszy należne przygotowania, założyłem sutannę i całe przedpołudnie spędziłem w salonie na przemian drzemiąc i odmawiając różaniec. Chciałem odprawić mszę w jednym z pokoi na parterze, zamienionym przeze mnie na prowizoryczną kapliczkę, niestety potrzeba snu okazała się silniejsza. Teraz zaś nie było już czasu.

- Hej, jesteście tam? — Usłyszałem jej zmysłowy głos, dochodzący z werandy. — Co tu robią dywany z sypialni. Pogłupieliście, czy co? — Wyraźnie się rozzłościła.

- Jestem tutaj! — krzyknąłem.

Po chwili stanęła w progu salonu: piękna, spocona, zdenerwowana. Nosiła krótką, szarą sukienkę bez ramiączek, podkreślającą jej zgrabną figurę. Długie blond włosy spięta w koński ogon zieloną gumką. Tchnęła erotyzmem i nawet tak zatwardziały celibatariusz jak ja nie mógł nie dać się zauroczyć jej wdziękiem. Szkoda, pomyślałem. Cholerna szkoda...

- Gdzie jest... — zapytała, rozglądając się po salonie. Jej uwagę przyciągnęła ogromna, ciemna plama na dywanie pod moimi stopami. - Co to jest?

- Mąż czeka na ciebie w sanktuarium. A to jest jego krew.

Zanim dotarł do niej sens wypowiedzianych słów, wyciągnąłem zza pleców pistolet i strzeliłem. Pocisk z ładunkiem usypiającym ugodził ją w przeponę. Ewa jęknęła i runęła na posadzkę.

\*

W sanktuarium panował przyjemny chłód. Kilkanaście pochodni obsadzonych wzdłuż wilgotnych, niestarannie wykutych w skale ścian, dawało wystarczająco dużo światła, by odebrać temu miejscu nieco z jego grobowej atmosfery. Nie lubowałem się w ponurych klimatach. Pan powiedział, że to, co szepczą w ciemności, zostanie usłyszane w blasku światła.

Ewę przywiązałem do żelaznego haka wbitego w jedną ze ścian sanktuarium. Piotr, a raczej to, co z niego zostało, spoczywał nago na kamiennym ołtarzu, w pozycji, w jakiej jego przodkowie umieścili Ferdynanda. Odrąbaną głowę wbiłem na drugi hak, po przeciwległej stronie lochu.

Z kieszeni sutanny wyjąłem małą, podrózną stułę. Ucałowałem ją pokornie i założyłem na szyję. W końcu uczyniłem znak krzyża.

Ewa była przytomna. Spoglądała na mnie z nienawiścią i przerażeniem. Trudno mi było ocenić, które z uczuć przeważało. Zresztą niewiele mnie to obchodziło.

- Ewo — rozpocząłem — zebraliśmy się tutaj, aby wola boża została spełniona, jego święty gniew objawił się nad wami, którzyście zgrzeszyli...

Splunęła w moją stronę.

- Oddaliście Szatanowi wasze dusze, zbeczęściliście chrzest, którym zostaliście

naznaczeni, dla zbawienia nieśmiertelnych dusz. Wasze plugawe przymierze przypieczętowaliście krwią niewinnych dzieci, parodiując przymierze zawarte przez naszego praojca Abrahama z Bogiem. Wasza wina jest bezsprzeczna. A oto i kara, którą Pan sam wam naznacza.

Sięgnąłem do kieszeni sutanny i wy dobyłem z niej Biblię. Otworzyłem na zaznaczonej stronie i zacząłem czytać.

- Z księgi Jeremiasza, rozdział 34, werset 18: "A z ludźmi, którzy przekroczyli umowę ze Mną, którzy nie wypełnili warunków umowy zawartej wobec Mnie, postąpię jak z cielcem, którego oni przecięli na dwie części, by przejść między nimi." Amen. Niech się tak stanie.

Wyćwiczonym wieloletnią praktyką gestem uniosłem do ust otwartą księgę, ucałowałem ją delikatnie, zamknąłem i schowałem do kieszeni. Następnie poszedłem do ołtarza i chwyciłem w jedną rękę ogromny topór o nierównym, poszczerbionym od uderzeń o kamień ostrzu, w którym odbijały się płomienie pochodni. Wolną ręką zdjąłem z haka odrąbaną głowę zdrajcy. Przez chwilę przypominałem żołdaka z licznych obrazów sakralnych, trzymającego w dłoni dopiero co odciętą głowę Jana Chrzciciela. Uśmiechnąłem się na tę myśl. Lepsze byłoby porównanie do Judyty i Holofernesa. Wszak to dobro zawsze zwycięża zło...

Umieściłem martwą głowę na ołtarzu, tuż nad szyją Piotra.

- Panie! — krzyknąłem, wznosząc topór. — Wejrzyj na twego wiernego sługę i niech się dzieje wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi!

Topór opadł ze świstem, rozcinając okaleczony czerep na dwie połowy, które poturlały się w przeciwną stronę lochu.

Na ten widok Ewa straciła całą dotychczasową odwagę. Krzyknęła przeraźliwie, jakby nie zdążyła jeszcze przyzwycząć się do widoku zmasakrowanych zwłok męża.

Ponownie podniosłem topór i ponownie uderzyłem nim z całych sił, rozcinając szyję i część mostka. Dziwiła mnie łatwość, z jaką stara, dawno nie ostrzona broń radziła sobie z mięśniami i kośćmi nieboszczyka.

To Pan dodaje mi sił, pomyślałem z przekonaniem, ponownie biorąc zamach. Powoli ogarniała mnie euforia. Czułem się lekko, jak w dzieciństwie, gdy pierwszy raz wypłem szklankę wódki. Tyle że obecnie rozkosz była sto razy silniejsza.

- Przestań — wrzeszczała Ewa, miotając się w swych więzach. - Błagam, przestań!

- Chcieliście złożyć mnie w ofierze Szatanowi - odpowiedziałem, nie przerywając swej pracy. — Ale Pan mnie ocalił.

- Ja musiałam. Słyszysz?! On mnie do tego zmuszał. Nie chciałam skończyć na ołtarzu!

Kłamała, byłem pewien. One wszystkie kłamią, gdy zobaczą, co je czeka.

- Jesteś czarownicą i zdechniesz za to — wysapałem. Z mężczyzną już prawie skończyłem. Zostało jedno, góra dwa uderzenia. Potem wezmę się za kobietę. Z nią będzie ciekawiej.

W sanktuarium panował smród krwi i nieczystości, które wylały się z rozpołowionych wnętrzności. Wierzyłem, że cieszył on boskie nozdrza, jak za czasów, gdy Żydzi, posłuszni jego woli wycinali w pień pogańskich Kananejczyków.

- Słuchaj, opowiem ci co chcesz. Zadzwonimy na policję. Jeśli zabijesz mnie, nie wysłuchawszy, co mam do powiedzenia, inni członkowie wspólnoty pozostaną bezkarni. Co ty na to?

Niewiele mnie obchodzili inni. Liczyło się to, czego chciał Pan — a on chciał zemsty tu i teraz. Postanowiłem jednak dać jej fałszywą nadzieję. Tak dla zabawy.

- Mów — odwróciłem się w jej stronę.

Musiałem prezentować się okropnie — zakrwawiony i cuchnący. Przerazenie, malujące się na twarzy Ewy, uczyniło ją brzydką, jak jej plugawa dusza.

Kobieta przewyciężyła się i spojrzała mi w oczy.

- Ferdynand miał brata, Lucjana. To on, po śmierci ich ojca, Szymona, Wielkiego Arcykapłana, stał się Dziedzicem Tajemnicy. W każdym pokoleniu jedno dziecko składano w ofierze, drugie wychowywano na Arcykapłana. Nasza moc wiąże się z Pierworodnym, Ferdynandem. Ten dom został zbudowany z drzewa zasadzonego na jego grobie. Adepti tu czerpią wiedzę i moc...

- Ale dlaczego ja? Choćbyście i złożyli mnie w ofierze, nie macie drugiego dziecka, Dziedzica, jak go nazywacie...

Zawahała się, jakby była w rozterce.

- Jestem w ciąży — wyznała.

- Co? Przecież...

- Po to właśnie wyjechałam do Warszawy. Chciałam być pewna. Dziś miałam wam to oznajmić.

Dosyć! Chciała odwieść mnie od wypełnienia zadania. Grała na moich uczuciach. Kłamała!

Gniew, rozładowany ciężką pracą, na nowo rozgorzał w moim sercu. Z wściekłością uderzyłem toporem w krocze mężczyzny, ostatecznie rozrąbując go na dwoje.

- Teraz twoja kolej — mruknąłem, odciągając zmasakrowane szczątki ku przeciwległym brzegom ołtarza.

Nie było mi to jednak dane.

Nagle wszystkie pochodnie zgasły i loch pogrążył się w całkowitych ciemnościach.

Ewa krzyknęła przeraźliwie.

Zdezorientowany wypuściłem topór z ręki. Ostrze zabręczało żałośnie w zetknięciu ze skałą.

- On nadchodzi — szlochała Ewa. — Zabije nas.

- Zamknij się — uciszyłem ją. Dźwięk, który przed chwilą odebrałem jako ledwo słyszalny szept, teraz przypominał syczenie gazu, uchodzącego z otwartych zaworów.

Po chwili poczułem jego zapach. Przypominał dym, unoszący się znad różna, swąd palonego tłuszczu. Przybywało go z chwili na chwilę coraz więcej, aż oddychanie stało się niemożliwe. Zaprzagnąłem uciec z Sanktuarium, bez względu na konsekwencje.

Ewa zamilkła wreszcie, prawdopodobnie zemdlona. Rozważyłem przez chwilę możliwość zabrania jej ze sobą i wymierzenia jej sprawiedliwości w innym momencie. Jednak domyślałem się, że to, co nadchodziło, samo zadba o nią najlepiej.

Kaszląc i łzawiąc skierowałem się ku wyjściu, gdy ze środka ołtarza wystrzelił płomień, który zaczął pożerać dym. Płomień rozrósł się szybko w kolumnę ognia, która wypełniła przestrzeń między obiema połowami zwłok. Krew i oślizgłe wnętrzności zalegające tę część ołtarza, w zetknięciu z ogniem natychmiast wyparowały.

W tej samej chwili poczułem przemożne pragnienie rzucenia się w płomień. Kusił mnie ich mieniący się blask, nęcił bijący od niego żar. Były jak łono Abrahama, na którym chcą spocząć wszyscy sprawiedliwi.

A przecież ty jesteś sprawiedliwy.

Nieustraszony wojownik.

Posłuszny sługa.

Dziecko.

Zafascynowany ruszyłem w kierunku muru ognia. Czułem się kochany, szanowany, zbawiony...

Nagle powietrze rozdarł skrzekliwy śmiech kobiety, będący wyrazem czystego szaleństwa. Brutalnie wdarł się do mojej duszy, kałając swą obecnością świętość mego zauroczenia.

Odwróciłem się i podbiegłem do Ewy. Silnym ciosem w szczękę pozbawiłem ją przytomności. Z kieszeni sutanny wydobyłem nóż, którym przekroiłem sznury u jej nadgarstków. Niczym worek słomy osunęła się na ziemię. Z niemałym wysiłkiem dźwignąłem ją i chwiejnie pobiegłem do drzwi.

Ogień krzyczał za mną z miłością, rozpaczą, gniewem, nienawiścią...

A ja biegłem. Biegłem.

To już prawie koniec.

Zostawiłem nieprzytomną Ewę w moim pokoju. W garażu odnalazłem kanister z benzyną, paczkę gwoździ i młotek. Benzynę rozlałem we wszystkich pomieszczeniach na parterze i podpaliłem. Gwoźdźmi zabiłem drzwi i okno — to na wypadek, gdybym przestraszył się śmierci, gdy spojrzę mi w oczy spomiędzy oczyszczających płomieni.

Ewa jeszcze śpi. Wygląda jak małe dziecko. Jeśli nie zaakceptuje swojego losu, będę musiał ją zabić.

Chyba nie masz nic przeciw temu?

Żar wyrzucił ściany pokoju. Została nam jeszcze chwilka.

Ferdynand właśnie przestał się uśmiechać. Jest na mnie wściekły.

Ty też?

Jednak moją największą zbrodnią jest to, że przyszła mi do głowy bluźniercza myśl. A jeśli Piotrek się mylił? Jeżeli my wcale nie wyodrębniłszy twojej mrocznej strony i ona nadal korzysta ze wspólnej wam wszechmocy?

Bo jeśli miał rację, to kogo spotkałem w piwnicy?

Pękła ściana. Płomienie pożerają powietrze.

Więcej grzechów nie pamiętam, żałuję za nie serdecznie, a ciebie proszę o wybaczenie.

Kimkolwiek jesteś...

Zobacz także te strony:

[Adwokat Diabła](#)

(Publikacja: 11-01-2004)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,3184) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,3184>)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.  
Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)